

Golem Korab

Cel – Macedonia/Albania – Golem Korab – zdobyty

Kiedy – maj 2010

Kto – Dziku & Madzia & Laura & Artur & Łukasz & Marek & Aga & Asia

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Cała ekipa







Golem Korab (2764 m. n.p.m.) – szczyt w masywie górskim, który oddziela dwa Bałkańskie kraje – Albanie i Macedonię. Jest to także najwyższy szczyt obu tych państw.

[tekst z maja 2010]

Dzień 1

Nareszcie piątek – prawdopodobnie ulubiony dzień tygodnia w

wielu zakładach pracy. Dziś wychodzę z pracy trochę wcześniej. W drodze do domu zatrzymuję się jeszcze w kilku sklepach z częściami samochodowymi. Gdy dojeżdżam do domu mam już podstawowe narzędzia mogące się przydać w awariach na długiej trasie. Pozostaje tylko spakować plecak i w drogę. Jadę przez zakorkowane miasto po Magdę, Laurę i Artura. Z Laurą już nie raz wspólnie zdobywaliśmy szczyty, ale dla Madzi i Artura była to pierwsza wyprawa typu „jechać, wliść, zliść, jechać, wliść, zliść...”.

Wieczorem nareszcie wyjeżdżamy z zatłoczonego Wrocławia na autostradę. Tutaj po paru kilometrach dołącza do nas drugie auto. W środku Łukasz, Marek i Agnieszka, których znam z poprzednich wypadów. Jest tam też koleżanka Łukasza – Asia, zupełnie nowa osoba w naszej ekipie.

Jak się w ciągu kolejnych kilku dni okazało, skład był silny i wyrównany. Wszyscy świetnie radzili sobie kondycyjnie w naprawdę niełatwych warunkach. Do tego dla kilku z nas zdobywane szczyty były kolejnymi rekordami wysokości.

Dzień 2

Przed nami do przejechania ok. 1600 km. Po kolei mijamy więc: Czechy, Słowację, Węgry i Serbię. Epizody z oponami oraz obowiązkowymi odpoczynkami sprawiają, że do Mavrovi Anovi – górskiej miejscowości w Macedonii – docieramy dopiero w Niedzielę. Nic nie szkodzi – takie opóźnienia nie są zaskoczeniem.

Dzień 3

Największą niewiadomą podczas organizowania wyprawy na Korab od początku były dla mnie formalności, jakie nas tu czekały. Przed wyjazdem przeczytałem w Internecie, że chcąc przebywać w strefie przygranicznej Albanii, Macedonii i Kosowa, należy parę miesięcy wcześniej ubiegać się o pozwolenie w macedońskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ten rejon nawet dziś bywa niebezpieczny. Ciągłe mogą znajdować się tam pola minowe po

konflikcie Macedońskim z 2001 roku. Front przebiegał wtedy właśnie przez przygraniczny obszar górski. Wciąż też jest aktualny problem z armią KLA (Kosowską Armią Wyzwolenia), która to wykorzystuje ten region jako drogę przemytu.

Założyłem jednak, że to jak zostaniemy tu przyjęci to będzie kwestia przypadku na jakich ludzi trafimy. I mieliśmy szczęście, ponieważ nasze 3 etapowe załatwianie formalności wyglądało następująco:

Etap 1 – Miejscowy posterunek policji. Wychodzi policjant, ogląda nas i stwierdza, że kompletnie nie wyglądamy na ludzi gór. Próbuje nas wystraszyć grasującymi w tych lasach niedźwiedziami i stadami wilków. Pokazuje nam pistolet i mówi, że owszem, oni czasami tam chodzą, ale tylko z bronią automatyczną. Ja mu przedstawiam wydrukowany w domu fragment mapy i pytam o drogę na szczyt. Po chwili nie mam wątpliwości, że ten policjant w górach wcześniej nie bywał. Najważniejszy cel jednak osiągnięty. Mężczyzna nie ma nic przeciw żebyśmy sobie tam poszli, powtarza jednak kilkakrotnie: „it’s your own risk”.

Etap 2 – to siedziba Parku Narodowego Mavrovo, na którego terenie znajduje się szczyt. Miałem obawy w związku z tą instytucją gdyż podejrzewałem, że będą nas próbowali namawiać na przewodnika. Tego dnia jednak wyszedł do nas młody pracownik parku i stwierdził, że nie ma najmniejszego problemu i możemy udać się na szczyt. Pod warunkiem jednak, że zostaniemy przepuszczeni przez posterunki policji granicznej.

I tak udajemy się do etapu 3 – ostatniej formalnej przeszkody – położonego w górach posterunku policji granicznej. Jadąc po terenowych drogach spotykamy grupy liczące od kilku do kilkunastu umundurowanych mężczyzn. Wszyscy z bronią przy boku. Ale jednocześnie wszyscy przyjaźnie nastawieni. Omijając dziury i co większe kamienie dojeżdżamy do posterunku w miejscu zwanym Strezimir. Tu wychodzi do nas dowódca – uśmiechnięty, sympatyczny mężczyzna. Po angielsku mówi, że nie widzi przeszkód żebyśmy pojechali wyżej – do oddalonego o

kilka kilometrów ostatniego przed górską granicą posterunku. Przygląda się jeszcze naszym pojazdom i ocenia z uśmiechem: „Ta droga nie jest dobra ale wasze samochody mają szansę to przetrwać...”.

Do tej pory, wbrew temu co słyszałem i czytałem wszystko idzie bardzo gładko. I to nie koniec miłych niespodzianek. Końcowy etap na dziś to umieszczona wysoko w górach ogrodzona drutem kolczastym baza pilnowana przez paru ludzi. Aby tam dojechać musieliśmy pokonać naszymi samochodami drogi przeznaczone dla wojskowych jeepów. Nie zapomnę sceny kiedy to z Łukaszem prowadzimy ostrożnie nasze auta, a przed maską... szły dziewczyny zbierając i odrzucając na bok co większe gałęzy.

Niedziela wieczór – nareszcie docieramy do ostatniego posterunku. Jest to miejsce, z którego wyjdziemy jutro zdobywać szczyt. Przywitało nas tu dwóch mężczyzn, którzy zachowują się, jakby im nasza wizyta bardzo odpowiadała. Możemy swobodnie rozbić namioty, a na pytanie o ognisko pokazują, że możemy rozpaść je gdzie nam się podoba. Jakby tego było mało, otwierają szopę i pokazują pocięte drzewo, z którego możemy korzystać. Nie chcąc nadużywać gościnności ruszamy z Arturem do lasu nazbierać gałęzi. Mężczyzna jednak krzyczy za nami. Raz jeszcze pokazuje na drzewo w szopie i daje do zrozumienia, że nie chce abyśmy zbierali drzewo w lesie. Nie wiemy, czy chodzi o miny, sidła, czy po prostu o szczerą gościnność.

Tego wieczoru nikt z nas nie zapomni. Przedwczoraj wszyscy byliśmy w pracy, a dziś – siedzimy w uroczym, odludnym miejscu, rozmawiamy, palimy ognisko i pieczemy kiełbasy.

Dzień 4

Wstajemy wcześnie rano, jemy śniadanie i ruszamy na górę. Szlak na szczyt jest oznakowany słabo. Do tego dochodzą wielkie połacie śniegu, które skutecznie zasłaniają namalowane na skałach znaki. To powoduje, że po minięciu starych, opuszczonych, pasterskich zabudowań zbaczymy ze szlaku. Potem

sytuacja powtarza się. Po utracie orientacji instynktownie kieruję się na najbliższy szczyt by lepiej rozeznać się w terenie. Po paru godzinach od wymarszu zamiast na Korabie, stoję prawie 2600 m. n.p.m. na innym szczycie, już na granicy z Albanią. Kiedy dociera do mnie reszta grupy nie mamy już wątpliwości, że szczyt jest jeszcze daleko. Przed nami zaś do pokonania pozostał odcinek grani – naturalnej granicy Macedońsko – Albańskiej. Nikt z nas się tym jednak nie zmartwił. Wprost przeciwnie – widząc otaczające nas krajobrazy nie da się ukryć szczęścia, które się maluje na naszych twarzach. Cieszymy się z każdej spędzonej tu chwili. Po kolejnych godzinach marszu stajemy na szczycie. Korab – 2764 m. n.p.m. zdobyty. Czuję ogromną satysfakcję. Pogoda jest piękna, więc na najwyższym punkcie dwóch bałkańskich państw spędzamy sporo czasu. Jemy, robimy zdjęcia, wygłupiamy się. Nikomu się nie śpieszy. Nawet kiedy decydujemy się wracać to postanawiamy znów skomplikować sobie zadanie.

Krótką sceną: Popołudnie w całkowicie bezludnych górach. Grupa turystów maszeruje po świeżych lawiniskach szerokości nawet stu metrów. Jeden z członków grupy trzyma się właściwej drogi. Ale widzi, że reszta oddala się coraz bardziej w niewłaściwym kierunku. Krzyczy: „CO WY ROBICIE?!”. Chwila ciszy i odpowiedź: „EKSPLORUJEMY!!!”. Koniec sceny.

Eksploracja, choć czasem na granicy ryzyka, była dopełnieniem dnia pełnego wrażeń. Od rana jesteśmy tylko my i ośnieżone szczyty. Pełnia szczęścia.

Wieczorem znów siedzimy przy ognisku. Suszymy buty, gotujemy wodę i parzymy jedną herbatę za drugą. Herbata chyba nigdy nie smakuje tak dobrze jak po zejściu ze szczytu.

Dzień 5

Rano zwijamy obóz i ruszamy samochodami na dół. W najbardziej przepaścistym miejscu nadjeżdża wojskowy jeep. Zjeżdżam tuż nad krawędź drogi. Uśmiechnięty kierowca jeepa wjeżdża dwoma

kołami na stromy stok po prawej i mocno przechylony mija o włos nasze auto. Dalej jest już spokojniej. Zjeżdżając z góry łatwiej pokonać jest taki trudny teren niż kiedy podjeżdżaliśmy pod górę. Przy posterunku Strezimir z naprzeciwka nadjeżdża jeep z pracownikami parku i przewodnikiem. Mają do nas pretensje. Mówią, że nie możemy wchodzić na Korab bez przewodnika. Tylko że... trochę się spóźnili. Są bardzo niezadowoleni kiedy się dowiadują, że byliśmy już na szczycie. Pieniądze, jakie mogli na nas zarobić rozpułyły się w powietrzu wraz z kurzem spod naszych kół.

A nasze auta zmierzają już w kierunku Bułgarii. Zanim wrócimy w poniedziałek do pracy, w ciągu najbliższych trzech dni wejdziemy jeszcze na najwyższe szczyty Bułgarii oraz Serbii. Ale to już osobna historia.

– END –